

**Dr Krzysztof A. Tochman**

*IPN Oddział w Rzeszowie*

### **PORUCZNIK DR MED. WITOLD MACIEJ ODROWĄŻ- MIESZKOWSKI**

**N** Niezwykle zasłużonym lekarzem - Judymem Zamojszczyzny, a w czasie wojny żołnierzem WP w kampanii wrześniowej 1939 r. i francuskiej 1940 był **por. dr med. Witold Maciej Czesław Tymon Odrowąż-Mieszkowski** (1903-1979). Urodzony 19 kwietnia w Warszawie jako syn Alfonsa i Eugenii, zdobył staranne wykształcenie i wychowanie patriotyczne, co było nie małą zasługą rodziców ale też i szkoły do której uczęszczał od 1913 r. (Gimnazjum filologiczne w Lublinie)<sup>1</sup>. W. Mieszkowski w wieku 15 lat wstąpił na ochotnika do WP i m.in. w latach 1919-1920 brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, następnie po złożeniu egzaminu dojrzałości wstąpił na Wydział Inżynierii Lasowej Politechniki Lwowskiej, którą ukończył w 1926 r. uzyskując tytuł inżyniera leśnika. Mianowany podporucznikiem piech. rez. ze starsz. 1 lipca 1925 z przydziałem do 6 pp Leg. w Wilnie<sup>2</sup>. Od 1926 do 1930 r. kolejno pracował w Białowieskiej i Wileńskiej Dyrekcji Lasów Państwowych. W l. 1930-1936 studiował medycynę na USB w Wilnie uzyskując tytuł doktora medycyny<sup>3</sup>. Awansowany na porucznika rez. piech. ze starsz. 1 stycznia 1935. Rozpoczął praktykę lekarską w 1936 r. i został zatrudniony jako lekarz miejski miasta Wilna oraz lekarz powiatowy w Postawach i ostatnio w Biłgoraju.

Zmobilizowany, 1 września 1939 r. wieczorem, odprowadzony został przez żonę i syna na stację kolejową w Zwierzyńcu, miał bowiem na czwarty dzień mobilizacji stawić się w kadrze 3 Szpitala Okręgowego w Sokółce. Przez Rejowiec, Chełm i Włodawę dotarł koleją do Brześcia, a stamtąd udał się pociągiem na Grodno i dotarł po 3 dobach do Sokółki. Tam otrzymał przydział do 361 szpitala polowego na stanowisko d-cy kolumny dezynfekcyjnej. 7 września wyruszył na czele kolumny z przeznaczeniem do Podlaskiej BK. Przez Sidry w ok. Augustowa dotarł do Wołkowyska (10 września). Tam na ochotnika zgłosił się do 103 Pułku Szwolężerów (d-ca - ppłk. w st. sp. Zdzisław Kwiatkowski) i został przydzielony jako lekarz pułkowy<sup>4</sup>. Przeżył bombardowanie samolotów nie-

---

<sup>1</sup> Archiwum Państwowe w Zamościu, sygn. 44/59, Akta personalne Witolda Mieszkowskiego (dalej APZ, Akta), Życiorys, k. 5; Informacje córki Anny Mieszkowskiej – Krzyszczak z czerwca 2008 r.

<sup>2</sup> *Rocznik Oficerski Rezerw 1934*, Warszawa-Londyn 2003, s. 51, 421), reprint; R. Rybka, K. Stepan, *Awanse oficerskie w Wojsku Polskim 1935-1939*, Kraków 2003, s. 524).

<sup>3</sup> Informacje córki Anny Mieszkowskiej z lipca 2008 r.

<sup>4</sup> Centralne Archiwum Wojskowe, tap. 1303/67/18, Akta personalne W. Mieszkowskiego; APZ, Akta, Deklaracja członkowska ZBoWiD W. Mieszkowskiego. 103 Pułk Szwolężerów wchodził w skład Rezerwowej Brygady Kawalerii dowodzonej przez płk. Edmunda Heldut-Tarnasiewicza.

mieckich. Po agresji wojsk sowieckich 17 września z jednostką wycofał się w kierunku na Grodno i przeszedł na lewy brzeg Niemna, a przez Kanał Augustowski do Puszczy. 23 września naciskany przez sowiecki podjazd pancerny wroga ze swoją kolumną wozów konnych przekroczył granicę na Litwę.<sup>5</sup>

Początkowo W. Mieszkowski internowany został w Olicie i Birsztanach. Pod koniec października uciekł razem z kolegami por. art. Sławomirem Osuchowskim i por. kaw. Wacławem Polkowskim z obozu i autobusem przyjechali do Kowna. W połowie grudnia po wielu trudnościach uzyskał wizę szwedzką i 19 grudnia z kolegami wyjechał do Rygi, a stamtąd statkiem „Kuonung Oskar” 20 grudnia wypłynęli na Bałtyk, jednak z powodu ogromnego sztormu musieli zawrócić do portu. Ponownie wypłynęli następnego dnia i 23 grudnia przybyli do brzegów Szwecji. (Sztokholm). Po skontaktowaniu z konsulem, po kilku dniach z Oslo (30 grudnia 1939) przyjechał pociągiem do Bergen, a stamtąd 1 stycznia 1940 r. przylądł do Aberdeen. Przez Dover 3 dni później przybył do słynnych paryskich koszar Bessières (4 stycznia 1940).

Po weryfikacji wyjechał na stację zborną służby zdrowia do Combourga i następnie do Coëtquidan, gdzie otrzymał przydział do Oddziału Rozpoznawczego 1 DGren. w Luyat<sup>6</sup>. Pomimo ugodowego aczkolwiek nie pozbawionego zasad charakteru W. Mieszkowski wszedł w ostry konflikt z pełnym hipokryzji red. Stanisławem Catem-Mackiewiczem<sup>7</sup> Tak o tym wspominał W. Mieszkowski: (...) *o mało co nie pojedynkowałem się z redaktorem Cat-Mackiewiczem, wydającym w Paryżu swoje „Słowo” i każącym sobie płacić 10 franków za numer, w którym drukował gorzkie żale, że nie poszedł i nie walił pałką w tępy łeb Składkowskiego. Wcale nie stawiałem w obronie Składkowskiego, ale udawanie bohatera po czasie wydało mi się taką bzdurą, że nie namyślając się machnąłem list do Mackiewicza proponując mu, aby zaprzestał wypisywania bzdur w drogiej gazecie, przeznaczonej dla kawiarnianych polityków, a wziął się do wydawania taniej gazety, przeznaczonej dla żołnierzy polskich, którzy są zupełnie pozbawieni „Słowa” polskiego. Dodałem na zakończenie kilka nieparlamentarnych, ale w dobie wojennej zupełnie uzasadnionych słów, którymi pan Cat uczuł się znieważony i przystał mi sekundantów. Ja wyznaczyłem swoich, którzy mieli jechać do Paryża na spotkanie z tamtymi. Może by i doszło do staropolskiej rąbaniny na karabele lub strzelaniny na pistolety, gdyby nie to, że*

<sup>5</sup> APZ, Akta, Oświadczenie, k. 7; W. Mieszkowski, *Z lat wojny*, (w:) *Pamiętniki Lekarzy*, Warszawa 1964, s. 248-249.

<sup>6</sup> Archiwum b. Wojskowego Instytutu Historycznego, sygn. V/21/98, J. Skrzydlewski, Polska Dywizja Grenadierów we Francji w roku 1940. Oddział Rozpoznawczy ten składał się z kawalerii dywizyjnej, spadkobiercy 8 Pułku Ułanów z Krakowa; większość oficerów pochodziła z tego pułku. W kwietniu oddział zmotoryzowano. Dywizjon posiadał 31 oficerów i 713 szeregowych, w składzie czterech szwadronów. Wyposażony był w 94 samochody (osobowe, półciężarowe i ciężarowe, przeważnie francuskie, "Citroen" i "Renault") oraz 128 motocykli.

<sup>7</sup> Stanisław Mackiewicz, ps.: "Cat" (1896-1966), polski publicysta polityczny, konserwatysta i monarchista, konfident bezpieki. W l. 1922-1939 założyciel, wydawca i red. nac. konserwatywnego dziennika "Słowo". W 1928-1935 był posłem na Sejm z ramienia BBWR. W 1939 opuścił kraj. W 1954-1955 był premierem Rządu na Uchodźstwie. W Wielkiej Brytanii współpracował za pieniądze z wywiadem komunistycznym PRL jako K.O. "Rober"). Wrócił do Polski Ludowej.

jeden z moich zastępców (zdaje się, że był to Emil[Szpanauf] opowiedział „poufnie” majorowi (był nim prawdopodobnie mjr. lek. Wasilewski - przyp. K.A.T.). Major zabronił ostro prowadzenia sprawy „honorowej” i nakazał odłożenie jej na po wojnie. (Po wojnie i po powrocie pana Cata do Polski w związku z podobnym jego artykułem o gen. Sikorskim napisałem znów list do pana Cata, przypominając mu tamten list sprzed osiemnastu lat i proponując mu dalszy ciąg, jeśli sobie mnie przypomina. Nie otrzymałem odpowiedzi (...)).

Na początku kwietnia przetransportowany został do Lotaryngii, do strefy przyfrontowej w okolicy wsi Hinsingen i Kirwiller. Tam rozwinął izbę chorych. Od 10 czerwca w odwrocie przy szwadronie dowodzenia. Brał udział w bitwie nad kanałem Marna-Ren (Baccarat-Raon-l'Étape.-Hollande) jako lekarz Oddziału Rozpoznawczego<sup>8</sup>. 22 czerwca w Sain Dié dostał się do niewoli niemieckiej. Przez Sélestat i Strasburg trafił do obozu jenieckiego w Wissembourgu, a po pewnym czasie do szpitala w Strasburgu. (l'hôpital de Gaujau). Tam pełnił funkcje lekarza obozowego. W połowie 1941 r. odkomenderowany został do obozu jeńców sowieckich w okolicy Neuburga., u stóp Wogezów. Tam wśród nich prowadził m. in. akcje oświatowo-instrukcyjną oraz udzielał pomocy potrzebującym. Pomimo wielu jego zabiegów śmiertelność wśród Sowietów była duża. (...) *potwornie wycieńczeni, dostawali głodowe racje. Musieli ciężko pracować. Większość z nich nie miała już w sobie ani sił, ani nawet ochoty do dalszego życia* - wspominał dr W. Mieszkowski.

Najbardziej jeńcom dawał się we znaki brak soli. Pewnego razu omal nie doszło z tego względu do zatrucia całego obozu. Wspominał, że jednego dnia wprowadzono do jego ambulatorium jeńca z kolosalną sinicą. Po prostu był niebieski. *Serce? Nie! A więc – tylko zatrucie! I do tego pacjent sika czarnym moczem. Po prostu atrament. Nie mogę z niego wyciągnąć, co zjadł. Pewnie jakieś grzyby. Kładę go na izbę chorych, a tu pod wieczór prowadzą mi znów drugiego takiego samego. Co u diabła? I ten też sika atramentem. Dopiero w nocy udało mi się z nich wyciągnąć, że jedli garściami jakąś sól która stała w workach na budowie „Pionierparku”, gdzie pracowali; sól tę Niemcy dodawali do cementu (była już jesień i przymrozki). Przeraziłem się! Przecież teraz w każdym baraku jeńcy siedzą przy swoich „kociołkach” wypełnionych czort wie czym, ale na pewno obficie osolonych tą trującą solą. Nie mogę się porozumieć z wachą, bo najbliżsi wachmani są na wieżyczkach na końcach obozu, a koło nas latają tylko psy. Podnosimy piekielny hałas. Udaje się nareszcie zwrócić uwagę posterunku, który oświetlił reflektorem nasz barak i puścił serię z karabinu maszynowego, ale gdy nie uspokoiliśmy się po tym, przyszedł pod nasz barak „Hundeführer”, któremu poleciliśmy obudzić Lagerführera, aby zrobił natychmiast w barakach rewizje. Tak się też stało. W świetle reflektorów wachmani otaczali po kolei barak za barakiem, wyprowadzono mieszkańców. Wachmani otaczali gęsto jeńców trzymając w rękach karabiny gotowe do strzału. Na drugi dzień mówili mi jeńcy, że byli pewni, iż wyprowadzają ich na rozstrzelanie. Skończyło się na strachu i nie przespanej nocy. Skonfiskowano dwa worki „soli”. Więcej wypadków zatruć nie było. Zawiozłem próbkę tej soli do*

---

<sup>8</sup> APZ, Akta, Życiorys, k. 5, Oświadczenie W. Mieszkowskiego, k. 4. Zob. Wykonać „4444”. Walki 1 Dywizji Grenadierów we Francji w 1940 roku, Londyn 1960.

szpitala, gdzie nasz szef farmaceutów, mgr Henryk Kocznorowski, od pierwszego rzutu oka rozpoznał w niej sól Bertholleta<sup>9</sup>. Niezależnie od rasy, pochodzenia i narodowości W. Mieszkowski był czuły na jakąkolwiek krzywdę każdego człowieka, tak w ekstremalnych warunkach obozowych jak i już na wolności, gdy jako lekarz leczył ludzi. Jak mógł pomagał i pod pozorem tyfusu plamistego kierował jeńców sowieckich do szpitala w Strasburgu.

Już u schyłku zimy w 1942 r. obóz wizytowali wyżsi oficerowie niemieccy. Sowieców oglądali jak „przedpotowe” zwierzęta. Jeden z nich litował się nad warunkami bytowymi dr. W. Mieszkowskiego, mówiąc, że powinien zwolnić się z niewoli i przejść do pracy cywilnej, gdyż *Do Polski pan nie wróci, bo Polski nie będzie, a Niemcy wojnę wygrają*. Wówczas odpowiedział: *Pozostanę tutaj, wrócę do Polski, Polska będzie, Niemcy wojnę przegrają*. Zapamiętał, że oficer niemiecki roześmiał mu się na to w twarz i odszedł bez pożegnania. Każdy z jego podkomendnych aż do ostatniego wachmana uczynił to samo, widać uważali to jako doskonały kawał..

Późnym latem 1942 r. po likwidacji obozu powrócił do szpitala w Strasburgu, gdzie objął kilka sal, choć wg wielu rad powinien poprosić o zwolnienie z niewoli i ułożyć sobie życie na „wolności” i „razkoszno” w Alzacji jako lekarz cywilny. Jednak służba drugiemu człowiekowi była dla dr. Mieszkowskiego nakazem najwyższym<sup>10</sup>. Niebawem odstawiono go do Colmaru. Tam miał pracować w izbie chorych przy kilkudziesięciosobowej komenderówce szewców i krawców, obsługująca jeńców pracujących u okolicznych „bambrów” lub po zakładach przemysłowych. A tych było sporo.

Pomimo życia w niewoli chodził po „staremu” dwa razy na tydzień na spacer. Tak o tym wspominał: (...) *porobiłem już sporo znajomości, szczególnie w sklepach spożywczych i tytoniowych. Mogę wszystko dostać bez kartek, każdą ilość tytoniu i co tylko chcę, za pieniądze. I za czekoladę, której u nas jest w bród (z paczek Czerwonego Krzyża). Można za nią dostać każdą ilość alkoholu mocniejszego, a w winie możemy się kapać. Obóz jeńców jest na terenie Alzacji jedynym miejscem, gdzie Niemiec może napić się wódki. Piłem i ja dużo. Pomagało mi to w przepychaniu, a raczej potem w przesypaniu czasu*.

Wskutek propozycji jednego z podchorążych podjął się prowadzenia wywiadu gospodarczego. Pomimo, iż zdawał sobie sprawę z tego co może go czekać w razie wpadki i podpisuje na siebie wyrok śmierci, podjął się tego zadania w służbie dla Ojczyzny. Podchorążemu przekazywał wiadomości, a od niego otrzymywał nowe instrukcje i szyfry. W nocy wszystko to odszyfrowywał, zamknięty w ubikacji, gdyż w jego komórce w każdej chwili mógł się pojawić Niemiec. Korzystał również z alarmów; o ile w izbie był chory, o którym mógł powiedzieć, że go ruszać nie można to wtedy z nim zostawał i wykonywał tę pracę otwarcie na stole, będąc przekonany, że żaden Niemiec nie wejdzie do schronu.

Wg W. Mieszkowskiego zaszyfrowane instrukcje, jakie otrzymywał zawierały *niesamowite banialuki*. *Miało się już ku szybkiemu końcowi „Wielkiej Rzeszy” i instrukcje mówiły jak się zachować, gdy bramy obozów się otworzą,*

---

<sup>9</sup> Jest to chloran potasu, szkodliwy dla człowieka i środowiska.

<sup>10</sup> W. Mieszkowski, *Z lat wojny...*, s. 267.

w momencie załamania się Niemców; gdzie mają się kierować jeńcy – oczywiście, tylko na zachód; jacy oficerowie i z jakich oflagów obejmą komendy nad poszczególnymi stalagami itp. Wszystko to było nierealne i mogłoby być śmieszne, gdyby za czytanie tych bzdur nie płaciło się życiem (...).

4 czerwca Mieszkowski został aresztowany przez Gestapo, oskarżony o przynależność do obozowej konspiracji i trucie ludności niemieckiej. Niebawem został odstawiony do więzienia w Colmarze<sup>11</sup>. Tam przez kilka tygodni był niesamowicie głodzony. 10 sierpnia przez Strasburg, Mannheim, Darmstadt, Frankfurt, Wiesbaden i Bonn trafił do więzienia Gestapo w Kolonii i więzienia w Brauwailer. Niemcy mieli dobre rozeznanie o tego typu polskiej działalności<sup>12</sup>. 16 września 1944 r. Niemcy przywieźli go do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Tam zobaczywszy „piekło na ziemi”, załamał się i usiłował popełnić samobójstwo, przecinając sobie prawą okolicę nadgarstka. Pomogli mu towarzysze niedoli, w tym i Wacław Tochman zam. po wojnie w Zamościu, gdzie zmarł<sup>13</sup>. W. Mieszkowski nieoficjalnie został lekarzem, opiekującym się węgierskim Żydami. Ich stan był beznadziejny i marli po kilkadziesiąt dniennie. Żywe szkielety pokryte wrzodami, jak zapamiętał. Niebawem został zatrudniony na rewirze, co było przysłowiowym łutem szczęścia, następnie objął ambulatorium w Steinbruchu, gdzie lagiernicy pracowali w kamieniołomie. Przeżył kilka potężnych bombardowań alianckich.

11 kwietnia 1945 r. Witold Mieszkowski wyzwolony został przez wojska amerykańskie, zatrudniony w szpitalu, gdzie jeszcze kilka dni temu mieściły się koszary SS. Całymi dniami z innym lekarzem robili transfuzje krwi i plazmy, bez ograniczenia, ale dla większości wycieńczonych było już za późno. Wobec zamknięcia szpitala przez Amerykanów, zdecydował, że jego misja została zakończona. 1 czerwca 1945 r. udał się w podróż do kraju i różnymi środkami lokomocji 21 czerwca dotarł do rodzinnego domu w Biłgoraju. Tak o tym niezwykle radosnym wydarzeniu wspominał dr W. Mieszkowski: *Pociąg zatrzymuje się w Rajgrodzie (w rzeczywistości był to Biłgoraj – przyp. K.A.T.)<sup>14</sup>. Wsiadam i dostaję się w objęcia przyjaciół, którzy informują mnie, że żona i syn zdrowi, żona pracuje w „Społem”, tylko, że mieszka w komórce przerobionej na mieszkanie, bo z poprzedniego mieszkania Niemcy ją wyrzucili. Spotykam Wandę na ulicy, mało się zmieniła tylko posiwiła. Przyjechałem we właś-*

---

<sup>11</sup> Archiwum Państwowe w Zamościu, sygn. 44/59, Akta personalne Witolda Mieszkowskiego, Servive International De Recherches International Tracing Service International Suchdienst, D- 3548 Arolsen, 12.04.1977, k. 10.

<sup>12</sup> Wg relacji pchor. Stanisława Wojciechowskiego z Bydgoszczy zacytowanej w tych wspomnieniach, centrala ośrodka tego wywiadu mieściła się w jednym z klasztorów na terenie Warszawy. Pragnąc nawiązać łączność z mężami zaufania siedzącym w obozie za drutami, wysłali łączników, młodych zakonników z listami imiennymi i naszymi adresami. Łącznicy ci wpadli na trasie i „wsypali” wszystkich.

<sup>13</sup> Wacław Tochman wg przekazów rodzinnych pełnił w lagrze funkcję krawca i był dość dobrze postrzegany przez obozową niemiecką komendanturę, gdyż szył przeważnie dla Niemców. W. Tochman był stryjem autora niniejszego artykułu, a bratem Mieczysława Tochmana, zam. w Zwierzyńcu.

<sup>14</sup> W. Mieszkowski w swoich wspomnieniach podał miejscowość „fikcyjną”, gdyż w rzeczywistości przyjechał do Biłgoraja, skąd wyjechał na wojenną tułaczkę, Informacje córki A. Mieszkowskiej-Krzyszczak z sierpnia 2008 r.

ciwym czasie (...) pojutrze jej imieniny. Za chwilę podchodzi do mnie i zaczyna mnie ścisnąć jakiś dryblas. To mój syn, Leszek, którego zostawiłem dzieckiem, a teraz jest wyższy ode mnie. Ma na sobie moje smokingowe spodnie, które nie sięgają mu nawet do kostek. Idziemy już znowu razem do domu. Ten dom - pożałuj Boże - komórka ciasna i niska, ale o ileż dla mnie piękniejsza niż wszystkie wspaniałości Zachodu. Po pięciu z hakiem latach poniewierki i nie bycia sobą wydaje mi się szczytem szczęścia wcisnąć się w kąt i być z dala od ludzi. Po tylu latach przymusowych kontaktów mam wstręt i boję się nawet nawiązywania nowych stosunków z ludźmi. Nie mogłem sobie jednak pozwolić na izolację choćby chwilową. Na drugi dzień po przyjeździe stanąłem do pracy w miejscowym szpitalu. Na cały powiat (100000 mieszkańców) jest pięciu lekarzy, ja włączam się jako szósty... I pracowałem wytrwale na stanowisku asystenta szpitala, kierownika Ośrodka Zdrowia i lekarza powiatowego.

16 kwietnia 1948 r. przeniesiony został do rezerwy, a 6 października 1949 r. uznany został za zdolnego do służby liniowej. W l. 1945-1948 należał do PPS, następnie po zjednoczeniu - PZPR. W 1950 r. współorganizował Powiatową Stację Pogotowia Ratunkowego w Biłgoraju. Jesienią 1950 r. przyjechał do Zwierzyńca na Roztoczu, gdzie 30 października został kierownikiem Ośrodka Zdrowia<sup>15</sup>. I już pozostał na stałe. Ta okolica przypominała mu Wileńszczyznę. Zaproponowano mu również stanowisko lekarza rejonowego PKP. Rejon ten rozciągał się od st. kol. Klemensów do st. Sokal, przeszło 100 km. Pomimo wyznaczonego 13 godzinnego dnia pracy dr W. Mieszkowski bardzo często „był na nogach” dzień i noc. Przyjmował w Ośrodku Zdrowia i PKP i w izbie porodowej, a tam praca była najczęściej nocą. Wszędzie udzielał porad, gdzie kto ich potrzebował, w dzień, wieczorem i w nocy. Starał się dotrzeć do każdego potrzebującego, o każdej porze. Recepty pisał w różnych miejscach, na kolanie, na płocie, wszędzie. I nie brał pieniędzy, leczyl za darmo, niekiedy za przysłowiową złotówkę, bo jak mawiał: *aby udała się diagnoza*<sup>16</sup>. W różnych porach roku docierał do chorego to rowerem, podwodą, piechotą, a niezadko w zimie na nartach. Nie było dla dr. Mieszkowskiego nic niemożliwego by pomóc potrzebującemu. Tak jak nie ustawał w pomocy dla drugiego człowieka w czasach wojny tak i już po wojnie, w czasie pokoju, gdy sytuacja chorego nie była o wiele lepsza, spieszył na ratunek.

Tak o tym wspominał: *Pamiętam, raz nie zmrużyłem oka przez 48 godzin. Załatwienie jednej wizyty domowej w tak rozległym terenie, przy bezdrożach, dwóch pociągach osobowych na dobę w jedną stronę i słabym ruchu towarowym (możliwość jazdy na parowozie) - kosztowało nieraz kilka godzin.*

*Zwierzyniec leży na południowym krańcu rejonu. Większość pacjentów z północnego odcinka przyjeżdżała pociągiem o szóstej rano, biegła półtora kilometra do ośrodka zdrowia i tam ja musiałem galopem ich załatwiać, bo wszyscy chcieli wracać do domu pociągiem o ósmej. Nie zawsze się to udawało. Następny pociąg był dopiero o osiemnastej. Codziennie rano słyszałem w gabinecie dochodzące z poczekalni świszczące oddechy zmęczonych biegiem lu-*

---

<sup>15</sup> Archiwum Państwowe w Zamościu, sygn. 44/59, Deklaracja członkowska ZBoWiD, k. 1

<sup>16</sup> Również i autor niniejszego szkicu zapamiętał jak dr. W. Mieszkowski o każdej porze doby i na każde wezwanie gotów był stawić się do chorego, w tym i jego rodziny.

dzi. Wizyty domowe w pobliskich wsiach załatwiałem na rowerze, na dalsze wyjeżdżałem wieczorem pociągiem i wracałem w nocy.

(...) Powroty na piechotę w nocy zdarzały się nie raz, gdy przespałem w pociągu Zwierzyniec. Głupstwo, jeśli chodzi o sąsiednie stacje, to sprawa dziesięciu kilometrów, po powrocie do domu można było jeszcze dwie, trzy godziny przespać się, ale trafiało się zajechać i 20 kilometrów za daleko. Jeśli nie było pociągu towarowego z powrotem, a ruch na szosach był słaby i na autostop po godzinie dwunastej w nocy nie można było liczyć, wówczas nie było już czasu na odpoczynek po dotarciu do celu, tylko solidny kubek kawy i do gabinetu: pacjenci z terenu muszą być załatwieni.

Najwięcej trudu kosztowały mnie wizyty domowe w okolicy Hrebennego. Pociąg dochodził tylko do Bełzca i trzeba było jechać 15 kilometrów rowerem. Przesyłanie furmanki po lekarza było zjawiskiem bardzo rzadkim. Tam się szło lasem, najczęściej do wsi po drugiej stronie rzeki, po zrujnowanym moście, z perspektywą zwalania się do szemrzącej po kamieniach Sołoki. Latem to było głupstwo, ale zimą trzeba było dobrze się napocić. Drogi wyboiste, oblodzone, co chwila leciało się rowerem na ziemię. Na szczęście – umiem się przewracać, nie robiąc sobie krzywdy. Miejscami jazda na rowerze była niemożliwa, gdy w głębszej warstwie śniegu – rzadko jeżdżące na owe czasy samochody – wyłobiły dwie koleiny. Jechać w takiej rynnie można było tylko w dzień, ale to była ekwilibrystyka; w nocy to się nie udawało.

Powiedziano mi kiedyś na jakimś zjeździe, że pierwszym lekarzem w Polsce Ludowej, który odwiedził pacjenta we najbardziej zakazanym kącie był - był – lekarz kolejowy<sup>17</sup>. To była szczerą prawdą bowiem część jego podopiecznych mieszkała w najbardziej oddalonych od jakichkolwiek szlaków przysiółkach, gdzie „diabeł mówi dobranoc”. Nigdy nie odmówił jednak przyjazdu na wezwanie. Samochodów na wsi nie było, a i koni też nie żądał przysyłania.

W. Mieszkowski najbardziej jednak lubił wizyty domowe lub zabiegi w niedzielę. I jak mówił – nie trzeba się było wtedy spieszyć. I nic z poświęcenia – On nie potrafił siedzieć beczynnym w dzień wolny od pracy. I gdy nawet nie miał jakichkolwiek wezwań do chorego to rano wychodził z domu. Niemalże do ostatnich dni uprawiał czynnie turystykę rowerową, zimą jeździł na nartach i kapał się w Wieprzu lub na stawach, bez względu na porę roku.

Wspominał, że w związku z jego „nawykami” opowiadał mu jeden z pacjentów, który leżał na sali w szpitalu PKP. W czasie pogawędki o lekarzach rejonowych tenże mówi: „A u nas jest taki, że na wezwania przyjeżdża na rowerze”. Ogólne niedowierzanie, jeden pyta: „A zimą jak? – A zimą to przyjeżdża na nartach!”. Powszechny śmiech i głosy: „Nie bujaj nas! Taki lekarz nie istnieje!”. A jednak taki lekarz istniał. I w dzisiejszych czasach też trudno byłoby uwierzyć...

Ale i z upływem czasu dalej sytuacja w służbie zdrowia w państwie ludowym niewiele się poprawiała<sup>18</sup>. Także i na odcinku PKP. Jednak dr Mieszkowski trzymał się jak cokolwiek usprawnić. Postanowił więc, że nie pacjenci

---

<sup>17</sup> W. Mieszkowski, *Refleksje kolejowego lekarza (1951-1971)* (w:) *Wspomnienia kolejarzy*, Warszawa 1976, s. 102-103.

<sup>18</sup> Obecnie w służbie zdrowia, zwłaszcza specjalistycznej jest fatalnie mimo szumnych zapowiedzi rządu Donalda Tuska, że będzie lepiej obiecywał też Lech Wałęsa i wielu innych.

będą do niego jeździć ale on do nich, raz w tygodniu. Znalazł pusty pokój w jednym starym baraku w Bełżcu. Zawiadowca podarował stoliki i parę krzeseł. I rozpoczął przyjmowanie. W ten sposób zmalała liczba przyjeżdżających do Zwierzyńca.

Po jakimś czasie powstała jednak Rejonowa Przychodnia Lekarska w Bełżcu na skutek jego „ochotniczych jazd do tej miejscowości”. Urządzono ambulatorium, gabinet lekarski z zabiegowym jednocześnie, poczekalnię z 15 miejscami siedzącymi, gabinet dentystyczny i punkt apteczny. Zatrudniono pielęgniarkę na pełnym etacie i sprzątaczkę. Przyjeżdżał tutaj z dentystką dwa razy w tygodniu i załatwiał wizyty domowe.

W. Mieszkowski prowadził też szczepienia, oświatę sanitarną i kontrole. A to też zajmowało dużo czasu, gdyż do każdej stacji trzeba było dojechać, a na odjazd długo czekać. Pomimo, że na szczepienia wyruszał drezyną – nie zaoszczędziło mu to wiele czasu, a wręcz kosztowało wiele wysiłku. Drezyna często się psuła, i jak zapamiętał doktor - zawsze po naprawie. Niejednokrotnie trzeba było ją pchać, niekiedy spory odcinek. Pracę oświatową prowadził z przyjemnością i zaangażowaniem. Przy każdej sposobności jakichkolwiek szkoleń włączał się z pogadanką i rzutnikiem, który miał w ośrodku zdrowia. Uważał, że *taki seans z obrazkami musiał coś niecoś pozostawić na trwałe w umysłach słuchaczy*. Najwięcej jednak stawiał na oświatę indywidualną, tzn. każdy z pacjentów otrzymywał od niego wskazówki, dotyczące m. in. wyleczenia się z aktualnych dolegliwości bądź też higienicznego postępowania aby na przyszłość im zapobiec. Jednak nie był pewny sukcesów. Teren zacofany, pełen zabobonów. *Niektórzy kolejarze, mający bezpłatny dostęp do wysoko kwalifikowanych profesorów, wolą dzisiaj jeszcze zwracać się do znachorów (...)*.

Dr W. Mieszkowski uważał, że *bezpłatne porady i bezpłatne leki to wielkie osiągnięcie społeczne, ale i ma to swoje ujemne strony. (...). Kolejarze mają u siebie w domach po prostu całe apteki – lekarstwa zbierane przez szereg lat, dawno przeterminowane. Celują w tym zwłaszcza renciści. No bo leków im nikt dzisiaj nie ogranicza*<sup>19</sup>.

Na pocz. lat 60. W. Mieszkowski rozpoczął starania o budowę przychodni. Droga inwestycyjna nie wchodziła w grę. Była i inna – adaptacja jakiegoś budynku. Po wielu monitach i kołatanjach u różnych władz w ciągu 2 lat jednak wybudował okazałe jak na warunki zwierzyńskie ambulatorium. Tak wspominał o tych piętujących się ciągle problemach: *Była na przystanku opuszczona kuźnia: cztery ściany przykryte przegniłym dachem. Postanowiłem wyremontować ją i zrobić z niej ambulatorium. Zacząłem pisać – jak to się mówi – „po wszystkich świętych”. Co rok, w czasie objazdu dyrektora, prowadziłem całą ekipę naczelników do mojej kuźni i referowałem sprawę. Naczelnicy notowali coś w swoich zeszytach i przez kilka lat kończyło się na tych notatkach. Aż któregoś lata trafiłem na odpowiedni moment! Naczelnik od finansów, obejmujący kuźnię, powiedział: ”Panie doktorze! Ta rudera nadaje się tylko do*

---

<sup>19</sup> W 2009 r. sytuacja jest diametralnie różna. Renciści zostali pozbawieni leków, a chorzy nie mają pieniędzy aby je wykupić w aptekach. Oprócz oczywiście funkcjonariuszy reżimu PRL, a głównie wywodzących się z MSW, których dalej stać na wszystko. Obecnie w krajach zachodnich, np. w Wielkiej Brytanii każdy emeryt ma niczym nieograniczony dostęp do bezpłatnych leków i usług medycznych.



*tego, żeby ją rozwalić czołgiem cegłę użyć na budowę ambulatorium. Dają na to 400 tysięcy złotych”. Budowa miała być prowadzona sposobem gospodarczym. Plan zrobiliśmy z technikiem budowlanym „na kolanie”, trzeba było się śpieszyć, żeby przypadkiem nie cofnęli pieniędzy. Powstało pięć pokoi służbowych i mieszkanie dla pielęgniarki. A cegły starczyło zaledwie na podmurówkę. W nowym Ośrodku znalazł się etat dla drugiego lekarza, dentystki, asystentki, laborantki i sprzątaczk. Tak powstała Rejonowa Przychodnia Lekarska w Zwierzyńcu. Teraz dr Mieszkowski miał od domu, gdzie mieszkał na stałe, ponad kilometr do miejsca pracy zaś pacjenci dosłownie kilkadziesiąt metrów od zatrzymującego się na peronie stacji pociągu do przychodni. Później dzięki jego wytrwałości w ochotniczych dojazdach do Bełzca powstała i tam Rejonowa Przychodnia Lekarska.*

Tymczasem w Zwierzyńcu zrezygnował z pracy w Ośrodku Zdrowia by w całości poświęcić się pracy dla kolei. Od 1 listopada 1963 r. pracował w Rejonowej Przychodni Lekarskiej PKP w Zwierzyńcu jako kierownik. Prowadził jednak lekcje higieny w miejscowym Technikum Przemysłu Drzewnego. Teraz nareszcie mógł pracować bez pośpiechu. Wreszcie przychodnia PKP otrzymała do swojej dyspozycji karetkę. Pomimo, że była ona b. wysłużona - starym gratem, przyniosła nieograniczoną pomoc. Niemałą zasługę w jej prowadzeniu i utrzymaniu położył kierowca. A drogi były fatalne. O tych pełnych przygód „espadach” wspominał W. Mieszkowski: (...) *nieraz tonęło się w błocie w środku wsi i trzeba było korzystać z pomocy mieszkańców, aby się z niego wydostać. Spędzało się czasem i noc w karetku w lesie, czekając rana, żeby traktor wyciągnął z błota. Wysypywały się łożyska z przednich kół i ładowaliśmy w rowie, szczęśliwie omijając przydrożne drzewa. Gdy jeden gruchot rozlatywał się definitywnie, dawano nam drugi do wykończenia. Zastępujący mnie w czasie urlopu młody lekarz, obejrzawszy karetkę, powiedział: Ja tym wozem jeździć nie będę, pan doktor powinien zaproponować naczelnikowi, żeby tą karetką jeździł sobie z sypialni do ustępu!” Nie zaproponowałem, jeździłem. Zimą zasy. Nie było asfaltów, nie było pługów odśnieżnych, trzeba było samemu przekopywać się lub wracać. Karetka jednak, jaka by nie była, zwiększała znacznie moją operatywność i pozwalała w kilka godzin załatwić wizyty na terenie całego rejonu.*

Były jednak i problemy organizacyjne na PKP o których wspominał doktor Mieszkowski. Mianowicie pierwsza sprawa to „pogotowie”, utożsamiane stale z karetką. Jak powiedzielibyśmy dzisiaj, przysłowiową „eRką”. Wielokrotnie otwierano wezwania do tego „pogotowia”. Każdemu trzeba było tłumaczyć, że to nie jest pogotowie. Były wypadki, że pogotowia powiatowe odmawiały przyjazdu na wezwanie kolejarzy, motywując to tym, że przecież „macie swoje” pogotowie. Niekiedy taka odmowa kończyła się tragicznie. Również „normalne” ośrodki zdrowia przyjęć motywując to stwierdzeniem, iż mają swoich lekarzy, szpitale i nie mają prawa udzielać porad bezpłatnie... Jednak jak wyjaśniał, przyczyną takiego stanu rzeczy była *niefortunna pieczętka w naszych legitymacjach ubezpieczeniowych: „Przysługuje tylko kolejowa opieka lekarska”.* Autor treści tej pieczętki był bardzo „dalekowzroczny”. *Żeby to słowo „tylko” miało pokrycie w rzeczywistości, trzeba by rejonu wyposażać tak, żeby mogły udzielać porad podopiecznym kolejowym przez całą dobę – na okrągło, a sieć*

szpitali kolejowych powinna być tak gęsta, żeby każdy podopieczny PKP mógł trafić do szpitala bez trudu. Wątpię, czy nasza służba zdrowia będzie w stanie kiedykolwiek wziąć pełną odpowiedzialność za te słowa. A ja, póki co, zamazuję je we wszystkich legitymacjach, które przechodzą przez moje ręce<sup>20</sup>.

Pod koniec swojej pracy zawodowej W. Mieszkowski został poproszony aby otoczył opieką lekarską rejon Suśca. Nie odmówił. Tak więc ponad rok dojeżdżał ze Zwierzyńca i do tej uroczej miejscowości „otoczonej” pięknymi „szumami rz. Tanwi. Swój wolny czas poświęcał zawsze na marsz – jak wspominał - półtora kilometra nad torem do kąpieli w pięknej, piaszczystej rzeczce Rybnicy. Propagowałem te kąpiele wśród wczasowiczów odwiedzających mnie w ambulatorium. Nie miałem obowiązku ani możliwości leczyć ich, byłem tu, aby nieść pomoc w razie nagłego zachorowania lub wypadku, a oni ode mnie żądali pigułek. Tłumaczyłem każdemu, że wczasy są na to, żeby odpocząć od pracy, domu, stałego otoczenia, no i lekarstw też. Na wczasach należy korzystać ze słońca, powietrza i wody. Z tej ostatniej nie korzystano prawie wcale. Pigułek udzielałem skąpo i tylko w razie aktualnej potrzeby. Spotkało mnie sporo. Duża to była pomoc dla potrzebujących. Jednak wszystkie swoje dokonania pozostawił następcom. W następnym roku przeszedł na emeryturę lecz pracował zawodowo dalej. Pasją jego życia były nie tylko „włóczęgi” kajakowe i rowerowe oraz wyjazdy nad morze z żoną<sup>21</sup> jako ulubione sposoby spędzania nawet najkrótszych urlopów, ale też i karty, zwłaszcza na zasłużonej emeryturze, podczas przyjacielskich spotkań z miejscowym księdzem seniorem Kazimierzem Żydowo, por. legionistą z I Brygady J. Piłsudskiego, odznaczonym wielokrotnym Krzyżem Walecznych. Do końca życia prowadził aktywny tryb życia zachowując sprawność fizyczną. Należał do ZBoWiD i Środowiska Żołnierzy 1 Dywizji Grenadierów w Warszawie.

Był autorem wspomnień *Z lat wojny* opublikowanych (w:) *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1968 i *Refleksje kolejowego lekarza (1951-1971)* nadesłanych na konkurs ogłoszony w 1971 roku przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Kolejowych PRL, Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa oraz Redakcję Tygodnika Sygnały, które zostały wyróżnione i opublikowane w książce pt. *Wspomnienia kolejarzy*, Warszawa 1976. Odznaczony m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Medalem Wojska i Croix de Guerre z brązową gwiazdą. Witold Odrowąż-Mieszkowski zmarł w 1979 r. w Zwierzyńcu.

W 1928 r. zawarł zw. małżeński z Wandą z d. Dekert (1902-1984). Mieli dwoje dzieci: Lecha (1930-2007), inż. elektryka, i Annę (ur. 1946), mgr biologii, po mężu Mieszkowska-Krzyszczak.

---

<sup>20</sup> Miał rację dr Mieszkowski, komunistyczna służba zdrowia nie wzięła odpowiedzialności za tę sytuację, nie wzięła też i ta w tzw. III RP. Służbę zdrowia PKP całkowicie zlikwidowano na pocz. lat 90. XX w.

<sup>21</sup> M. in. z żoną Wandą rozpoczął rajd rowerowy dookoła Polski. Początek trasy - wzdłuż wschodniej granicy Polski Ludowej, od Bełżca do Włodawy, często po bezdrożach. W ciągu 5 dni przejechali 200 km. Kolejnego roku wyruszyli dalej na północ, aż do morza. Zob. W. Mieszkowski, *Refleksje kolejowego...*, s. 198.